

władczyni miejscowego SS, Pani na kazimierskim Gestapo, rozwścieczona i groźna.

– No dalej, ruszcie się obaj – wrzasnęła, a überhipsterzy zamarli jak króliki na widok oceanu.

– Ależ Olimpia, więcej godności... – zaczął profesor, ale zamilkł, kiedy wzrok Olimpi przeszył go na wskroś.

Pan Staś był załamany. Jeszcze się w nim żagiel bielił dumy i chęci mordy, ale już się wiza osypywała, już się poddawał.

– Ale gdzie i po co? – zapytał.

– Dowiesz się, spokojnie, zaraz się dowiesz.

Tymczasem Filip Malewski starał się dotrzymać kroku Mężczyźnie. Nie były to co prawda wielkie susy, było to drobne kroczenie, a można by nawet powiedzieć, że to było przesuwanie się, a nie kroczenie, wręcz pełźnięcie to było, ale prowadziło toto do wojny.

„Wojna! Wojna! Wojna o Pana Stasia”, myślał otłuszczony mężczyzna, a w jego zanurzonym w lipidach mózgu kiełkował plan koalicji. „Już ja mu zrobię obłężenie, ja mu urządzę taką Troję, że mu się w tym staropunkowym łbie nie śniło”.

I nagle wrzasnął:

– Już ja ten staropunkowy obrządek zlikwiduję! Pan Filip Malewski kraśniał z dumy.

„Oto dziś jest noc i krwi, i chwały”, myślał sobie pan Filip Malewski i prawie doznał orgazmu, gdy wymyślił, co zrobi, gdy w jego dłonie wpadnie ten „śliczny Pan Staś”. •

I wyrozumiały,  
i przystępny

## Adam Poprawa

Trafiłem na ten tekst przypadkiem, z innych zupełnie powodów wertując dokładnie warszawski „Wieczór” z 1948 roku. Przez parę dni spoglądała na mnie z lustra twarz odkrywcy, są przecież zazwyczaj jakieś niedoczytania: okazało się, że tekścik ów wiedzie także swój żywot w sieci. No cóż, przynajmniej nie jestem sam. Idzie w każdym razie o felieton Tuwima Kinochamy, w którym przedstawia poeta nieaprobowane przezeń zachowania części publiczności. Niektórzy bowiem głośno dukają napisy oraz komentują akcję. Zdesperowany Tuwim pisze serdeczną żólcia i tak pięknie bluzga:

„Jeżeli parka składa się z samca i samicy, spikerką jest zazwyczaj ona. Jeżeli to para chamów rodzaju męskiego, czytają na przemian. Jeżeli dwie idiotki – równocześnie”.

Wiadomo, Tuwim nie przepadał za ludem ani mieszczanami. Felieton pochodzi jeszcze z okresu międzywojennego; hierarchie społeczne były wtedy wyraźne, nic dziwnego więc, że taka aksjologia odbioru została wtedy sformułowana i ukazała się drukiem. Ale powtórzenie tekstu w pierwszych latach budowy socjalizmu intryguje, tym bardziej że „Wieczór” był popularną popołudniówką. Zapewne wartości i warstwowość (społeczna) działały jeszcze z rozpędu. +

Cóż dziś? Spadek po Peerelu, katolicyzm, polityka, demokratyczny egalitaryzm, ekonomia wreszcie – wszystkie te czynniki, wspólnymi siłami, zbudowały potężne tabu chroniące człowieka, hm, kulturalnie niezobowiązane-go. W roku 1989 Stanisław Stabro wydał tomik Korozja; wiersze tam zawarte ukazywały prostych ludzi w nieco innej perspektywie, niż tradycja sentymentalna zwykła mówić o pastuszkach. Utwory zebrane w tej książce powstały wcześniej, w latach 1982–1984. Nadarzyła się więc trzeźwiąca okazja zobaczenia, iż społeczeństwo polskie nie było bynajmniej wolnościowym monolitem, prześladowanym jedynie przez partyjną garstkę. Tyle że Stabrze dostało się za nienawiść, tak było w pewnej ogłoszonej – w nader szacownym periodyku – wypowiedzi.

Cóż jednak dziś? Parę miesięcy temu Krzysztof Varga wygarnął aż do wąpłi, w trybie powieściowym i w różnych kierunkach. Wybatożył tedy oraz wytarzał w Trocinach i chłopskie atawizmy, i zachowania zgodne z żurnalem Krytyki Politycznej, i żonę modną, i PKP, i stadne zachowania, i korporacyjność... Szko-da tylko, że sam sobie całą krytykę społeczną unieważnił, obdarzając takimi poglądami bohatera, który wygląda na emanację czystego zła: jest mordercą, pogardzaczem i pracownikiem korporacji. Ba! Sam autor opowiadał, iż w trakcie pisania jał doznawać złych emocji... Czy to forma samokrytyki? E, pewnie przesadzam. A swoją drogą ciekawe, że krytycznie o włościanach lub warszawskich snobizmach można dzisiaj powiedzieć jedynie ustami takiego nikczemnika, jak Piotr Augustyn, głównie na postać Trocin.

A na dodatek bohater ów został pomyślany jako wyrafinowany słuchacz muzyki dawnej! Czy miałyby to być jedyna jego jasna strona? Bo może wręcz przeciwnie: dawna muzyka

w uszach i duchowości postaci par excellence negatywnej byłaby międzyrodzajową krypto-polemiką, skoro Varga znany był dotąd raczej jako dziejopis polskiego punk rocka.

Jest w Trocinach zabawna scena, także z komicznymi efektami przez autora nie zamierzonymi. Oto Piotr Augustyn został przez żonę wyciągnięty do filharmonii – bądźmy przecież sprawiedliwi: nie na koncert muzyki dawnej. Zaczyna przyglądać się pewnej skrzypaczce: „jej wiek oceniałem na dwadzieścia pięć lat mniej więcej, pierwsze skrzypce Filharmoników Pannońskich były zdecydowanie starsze i większe, była to potężna kobieta z kaskadą czarnych trefionych włosów, Vengerov ucałował powietrze tuż nad wierzchem jej dłoni zaraz po wejściu na scenę, i jeśli moja skrzypaczka mogłaby być moją córką, to pierwsze skrzypce mogłyby być moją teściową”.

Kłopot w tym, że ta starsza pani jest koncertmistrzem. Owszem, we włoskiej na przykład terminologii koncertmistrz to violino primo, niemniej polszczyzna odróżnia koncertmistrza od pierwszych skrzypiec, czyli całej grupy muzyków w orkiestrze. Nie ma jednak co narzekać, wystarczy pozwolić działać, jak by to ujął Blake, Boskim Sztukom Wyobraźni. Jeśli tedy dyrygent cmoka pierwsze skrzypce w rękę, to całuje dłonie wszystkich po kolei, całą grupę pierwszych skrzypiec, kobiety i mężczyzn. Że się czasami o kogoś potknie, że wywróci jeden czy drugi stojak z nutami – trudno, grzeczność też wymaga ofiar. No i, powtórzmy, „pierwsze skrzypce mogłyby być moją teściową”. Taka zbiorowa teściowa jest do pomyślenia w innych kulturach, głównie w islamie lub dawniej u mormonów.

Wszystko to prawda, tylko czemu rokrocznie różni publicyści ekscytują się londyńskimi Promsami, że tam publiczność w trakcie koncertów spaceruje, rozmawia, popała? I wracam

do kina, aczkolwiek do multipleksów chodzę wyłącznie w sytuacjach wyjątkowych. Zaczisnąwszy zęby, wybraliśmy się więc kiedyś z żoną na Scoop, gdy tylko wchodził w Polsce na ekrany. I było jeszcze gorzej: młodzieńcy nie tylko wychodzili po picie, lecz i z Allenowskich dowcipów się nie śmiali. Ostatnio zaś poszedłem na dokument o Marleyu, wyświetlany tylko na dwóch specjalnych pokazach. Przy kasie zobaczyłem parę, która prawie że urwała się z Tuwima: popatrywali, na co by tu pójść. I do głowy by mi nie przyszło, że reggae wywoła u mnie tyle agresji. Ale myślałem, że przyjdą dla Marleya, a przyszło sporo wygłodniałych adehadowców.

Jakiś czas temu procesował się Allen z liniami lotniczymi, które wyświetlały jego filmy w wersjach skróconych (bo czas od startu do lądowania był krótszy). A dzisiaj? Najnowszy film miał się nazywać Bop Decameron. Mówi Allen: „Tak, ale kto dzisiaj wie, czym był Decameron? Zmieniłem więc tytuł na Nero Fiddled. Wtedy mój producent dostał listy od dystrybutorów z całego świata, że nie wiedzą, co to znaczy. Skończyło się na To Rome with Love, mniej oryginalnie, za to zrozumiałe dla wszystkich”.

W Ad leones! u Norwida pewien artysta pracuje nad rzeźbą przedstawiającą dwoje chrześcijan oczekujących śmierci na arenie. Oczekiwania zaś (niektórych) odbiorców powodują, że rzeźbiarz – ironicznie? z konformizmu? – przemienia swoje dzieło w coś zupełnie innego. Amerykański dziennikarz jest zachwycony:

„Jaśniej okazanej i piękniejszej myśli dawno nie napotkałem... Grupa wyobraża KAPITALIZACJĘ w sposób i wyrozumowany, i przystępny...”

Woody’emu Allenowi przykładam Norwidem? Takie czasy.

•

## Pewna rozmowa... i nasze lęki

Agata Araszkiewicz

W zeszłym roku mieszkałam kilka miesięcy w Warszawie i gdzieś w połowie lata, w wynajmowanym domku, wydawałam tradycyjną czwartkową kolację. Jeden ze znajomych, młody warszawski galernik, przyprowadził ze sobą gościa niespodziankę prosto z samolotu: był to odwiedzający go znajomy ze Szwecji, który wpadł na weekend do naszej stolicy. Rozmawialiśmy na różne przygodne tematy – moja przyjaciółka, znana rysowniczką, snuła wspomnienia, jak to będąc uczęszczającą do kościoła małą dziewczynką, urządziła protest przeciwko dyskryminacji płciowej w wyborze kandydatów na ministrantów. Zazdrościła kolegom pięknych strojów i możliwości uczestnictwa w rytualnych obrzędach, które miały charakter niedostępnego jej wtajemniczenia. Gdy ksiądz uległ w końcu jej naciskom, została ministrantką... jedynie do połowy mszy. Całe wtajemniczenie wydało jej się zwyczajnie nudne i nieskrojone na jej miarę, a na pamiątkę niefortunnej próby pozostał jedynie na miarę uszyty strój. W naszym antyklerykalnym gronie wywołało to serię uśmiechów – z jednej strony, potępialiśmy żartobliwie jej +